

Długie cienie

Bernard otworzył oczy. Przeszywający ból, jaki poczuł, zmusił go do szybkiego opuszczenia powiek. Nie pamiętał, co się stało. Nie pamiętał, gdzie się znajduje. Dochodziły do niego tylko głuche zniekształcone odgłosy – jakieś krzyki, słowa, jak gdyby ktoś mówił w zwolnionym tempie. Nagle dołączył się do tego piekielny warkot. *Ktoś uruchomił samolot?* – Zdziwił się Bernard. – *Ale dlaczego tak blisko?*

Powoli ponownie otworzył oczy. Ujrzał niewyraźne kształty, tańczące nad nim w ciemności. *Ratuuunku!* – Chciał krzyknąć, ale nie potrafił stwierdzić, czy mu się udało. Znowu dziwaczne głosy wokół. Podparł się i powoli spróbował usiąść. Wysiłek zakończył się ostrym bólem w potylicy. *Mam wrażenie, że ktoś wbił mi olbrzymią szpilę w czaszkę.* Zawył z bólu, ale tylko na krótką chwilę, ponieważ żołądek się zbuntował i gorąca kwaśna treść wypełniła mu jamę ustną. Głowa opadła, ale poczuł, że ktoś ją przesuwając na bok i wymiociny znajdują ujście.

Po opróżnieniu żołądka ból nie tylko nie zelżał, lecz uległ gwałtownemu nasileniu. Mężczyźnie przed oczami zawirowały tysiące gwiazd. *Nie wytrzymam tego, nie wytrzymam, co się dzieje, nic nie pamiętam, auu! Jak boli!*

Nagle, jak za sprawą magicznego cięcia, ból ustąpił, a Bernarda spowiła ciemna kotara. I nastała błoga cisza.

Dziesięć lat później

Komisarz Arkadiusz Ilecki przyglądał się pracy techników. Już nie mógł się doczekać, kiedy zapali upragnionego papierosa, ale był profesjonalistą. Nie na miejscu zbrodni, a konkretniej, nie na miejscu znalezienia zwłok. Bo denat raczej nie utopił się na takiej mieliźnie.

Mleczka płynęła spokojnie, tworząc w tym miejscu spore zakole otoczone przybrzeżnymi trzcinami. Zwłoki znalazł w trakcie porannego spaceru mieszkający niedaleko staruszek, a właściwie jego pies. Rozmowa z mężczyzną była krótka, konkretna i nic więcej do sprawy niewnosząca, oprócz tego, co już przekazał telefonicznie. *Nad rzeczką w krzakach leży trup.*

Ciało nosiło już ślady „skóry praczek”, a umiejscowienie plam opadowych wskazywało, że denat spoczywał twarzą do ziemi co najmniej kilkanaście godzin. Niestety, nie znaleziono żadnych dokumentów.

– Macie już coś? – Niecierpliwił się Ilecki.

– Tak, mamy już... – Tomasz, szef grupy techników zrobił teatralną pauzę – ...dość.

– Dowcip godny majora Sucharskiego, ale zrozumiałem przytyk. Nie będę popędział. – Uniósł ręce w pojednawczym geście. – Coś mi się widzi, że znam już tożsamość jegomościa, potrzebuję jednak czegoś więcej, zanim złożę wizytę rodzinie.

– Co, jakiś znajomy? – Zainteresował się Marek, drugi z techników.

– Sprawdziłem przed chwilą w bazie. W ostatnim półroczu w okolicy zgłoszono tylko jedno zaginięcie. Bernard Majkut, mieszkaniec Rozborza Okrągłego, dwadzieścia osiem lat. Wyszedł na wieczorne spotkanie z kumplami dwa dni temu. Miał na sobie koszulę w kratę, czarną kurtkę, granatowe dżinsy i białe adi-

dasy.

Wszyscy, jak na zawołanie, skierowali wzrok na ciało. Gdzieniedzie porozrywane, zabłocone części odzieży, ale bez wątpienia zgadzały się z opisem.

– No, proszę. – Pokiwał z uznaniem głową Tomasz. – To my się tu męczymy, a nasz Sherlock już wszystko dawno wie. Jak zatem zginął, mistrzu?

– Obstawiam, że alkohol zrobił swoje i gostek zleciał z jakiegoś mostu, czy kładki. Albo pomógł mu jakiś kolega od kieliszka. Mało to takich spraw. Jak nie znajdzie się żaden świadek, sprawa na tym utknie. Ale to ja muszę zanieść wieści rodzinie. – Zaklął i odruchowo sięgnął po papierosa. Zreflektował się jednak i tylko machnął ręką.

– A co byś powiedział na to, że nasz klient jednak nie utonął?

– Powiedziałbym, że zaczynają się schody. Czemu tak sądzisz?

– Wszystko potwierdzi sekcja, ale dużo bym postawił na to, że w płucach, jak to śpiewała Beata Kozidrak: Nie ma, nie ma wody! – Zaintonował. – W płucach tych!

– Nigdy nie zrozumieć, jak można sobie żartować nad trupem. Ty na pewno nie jesteś z rodziny szefa? – zapytał retorycznie. Nadinspektor Misiek, znany był ze specyficznego poczucia humoru i zamiłowania do starych dowcipów, stąd też miał przydomek major Sucharski.

– Poza tym denat ma obrażenia potylicy, wskazujące na cios ciężkim przedmiotem. – Tomasz nie zareagował na zaczepkę. – Pozostałe rany bez śladów krwi. Widać też, że nie ominął go skalpel neurochirurga. – Wskazał miejsce na czaszce, odgarniając włosy.

– Blizna po trepanacji – rozpoznał komisarz.

– Bingo!

– Czyli twierdzisz, że do rzeki sam nie wskoczył?

– Trupy raczej nie mają takich zdolności.

– Wiedziałem, zbliża się urlop, to zawsze jakiś pasztet się trafi. Masz coś jeszcze?

– Tylko to miał przy sobie. – Podał Ileckiemu plastikową torebkę.

Arkadiusz odebrał znalezisko dłonią uzbrojoną w lateksową rękawiczkę. W środku znajdował się czerwony składany scyzoryk. Połowa obudowy nosiła ślad pęknięcia.

– No dobra, jadę do rodziny. Kiedy można będzie przeprowadzić identyfikację?

– Myślę, że za godzinę, góra dwie będzie już w prosektorium.

– Dobra, dzięki. – Uniósł rękę w geście pożegnania i odszedł w stronę samochodu.

– Dzień dobry! – Usłyszał wołanie, zanim jeszcze wszedł do środka. Odwrócił się i zobaczył zgrabną kobietę pod trzydziestkę.

– A pani, co tu robi? – Zirytował się. – Teren zamknięty...

– Jestem prokuratorem. – Przerwała mu. – Nazywam się Wiktoria Porazka.

Tylko na moment w jego oczach pojawiły się wesołe błyski, ale koniuszki warg nawet nie drgnęły.

– Komisarz Arkadiusz Ilecki. – Uścisnął wyciągniętą rękę. Wytrzymał jej spojrzenie, w którym dostrzegł uznanie. Pierwsze koty za płoty.

– Skąd panią tu przywiał? – Tym razem pozwolił sobie na uśmiech.

– Z Rzeszowa.

– Lubi pani pracę w terenie?

– Zbyt długo siedziałam na stołku. Polecono mi zmianę trybu życia.

– Ktoś się bał, że zechce pani zmienić stołek na lepszy? – Pokiwał głową ze zrozumieniem, nie czekając na odpowiedź.

Wiktoria już miała na końcu języka: *Bystrzak z pana, na pewno jest pan policjantem?*, ale uznała, że to byłoby nie w porządku. Ilecki darował sobie głupie żarty z jej imienia i nazwiska. Dlaczego więc miałaby zrażać go do siebie od początku znajomości? Nie wiadomo, ile czasu przyjdzie jej tu spędzić.

– Może kiedyś przyjdzie pora na takie rozmowy. Co tu mamy? – Zerknęła w stronę ekipy.

- Najpewniej zwłoki, które ktoś wrzucił do wody. Opis pasuje do zaginionego Bernarda Majkuta. Jadę właśnie do rodziny, za dwie godziny identyfikacja zwłok.
- Dobrze, ja się tu rozejrzę. To mój numer. – Wsunęła mu do ręki wizytówkę. – Będziemy w kontakcie.

Dziewczynka biegła po podwórzu, bawiąc się z wielkim psem, kiedy za furtką pojawiła się obca postać. Wysoki, dobiegający czterdziestki mężczyzna z krótko przyszywaną czarną czupryną i jeszcze krótszym zarostem przyglądał się chwilę tej beztrosce. Dom, jak wiele w okolicy – niewielki, w stylu czworosien-nego kłosa z początków lat dziewięćdziesiątych, kiedy jeszcze ważniejsza niż architektoniczna wizja była dostępność materiałów.

– Dzień dobry! – zawołał do dziecka.

Mała postać zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na intruza.

– Dzień dobry – grzecznie odpowiedziała dziewczynka, zbliżając się do furtki. Nie sprawiała jednak wrażenia, że chce ją otworzyć.

– Jest tata? – Mężczyzna starał się nadać głosowi ciepły ton.

– Ja nie mam taty – odparło beztrosko dziecko, jakby była to oczywistość.

– A kogo masz? – Głos nadal był miły.

– Mama mówi, żeby nie rozmawiać z nieznajomymi. – Wystawiła język. – I że najpierw trzeba się przedstawić. – Wyglądała na osiem-dziesięć lat, ale piwne oczy patrzyły rezolutnie na nieznajomego, wręcz oskarżycielsko.

– No tak, gdzie moje maniery. – Pokazał blachę. – Jestem policjantem. Komisarz Arkadiusz Ilecki. A ty przyznałaś się, że masz mamę. To może ją zawołasz?

– Mam jeszcze babcię i wujka. Ale dlaczego pan nie ma munduru?

– Bo ważni policjanci nie chodzą w mundurze, żeby nie zostać rozpoznanym.

– To sprytne. – Podsumowała mała blondynka. – Mamo! Mamo! Policja do ciebie! – Z wrzaskiem pobiegła w stronę domu. Po chwili z okna wychyliła się głowa kobiety. Na widok komisarza zbladła i krzyknęła tylko w jego stronę: – Niech pan wejdzie, pies nic panu nie zrobi! – Po czym zniknęła.

Komisarz przeprowadził już całą rozmowę w głowie, ale i tak trudno było przewidzieć, jaka będzie reakcja. Niestety, tego nie dało się zaplanować, a bywało różnie.

Zanim znalazł się przed drzwiami, te otworzyły się gwałtownie i młoda kobieta ze śladami łez zdążyła go uprzedzić.

– Znaleźliście go! O Boże! On nie żyje! Nie żyje, prawda? Oła, do domu! Już!

Chociaż Ilecki starał się zachować kamienną twarz, jego mina mówiła wszystko. Na szczęście dziecko posłuchało matki. Nie powinno brać udziału w rozmowie.

– Najpierw muszę wiedzieć, kim pani jest dla ofiary.

– Barbara Majkut, siostra.

– Znaleźliśmy ciało nad rzeką. Jest podejrzenie, że to ciało Bernarda Majkuta.

Kobieta rozplakała się na dobre.

– Wiedziałałam... – Usiadła na ławce pod oknem. – Wiedziałałam, że coś mu się stało. Czułam to. Inaczej by się odezwał.

– Na razie mogę tylko powiedzieć, że denat... – Mokre spojrzenie spod jasnej grzywy. – ...mężczyzna, którego znaleźliśmy... opis zgadza się z tym, który dostaliśmy w zgłoszeniu. A może rozpoznaje pani to?

– Pokazał zdjęcie scyzoryka w telefonie.

– Kobieta ponownie zalała się łzami, potakując tylko. Po chwili dodała:

– To... na pewno jego... Poznaję to pęknięcie. Bernard miał sentyment do tego scyzoryka. Dostał go ode mnie kilka lat temu.

– Przykro mi... Mimo wszystko potrzebujemy jednak, aby zidentyfikował go ktoś z rodziny.

– Rozumiem. – Kobieta otarła rękawem bluzki spływające po policzkach łzy. – Za chwilę będę gotowa.

Arkadiusz Ilecki usiadł za biurkiem, stawiając kubek gorącej kawy przed Barbarą.

– Proszę, niech się pani napije. Na pewno nie chce pani odłożyć tej rozmowy na jutro?

Po odsłonięciu zwłok nie musiał pytać, czy rozpoznaje brata. Jej gwałtowna reakcja, krzyki i potok łez były wystarczającą odpowiedzią. Dopiero po podwójnej dawce relanium uspokoiła się na tyle, że dało się z nią porozmawiać. Komisarz zaofiarował się, że odwiezie ją do domu, uparła się jednak, aby nie zwlekać ze śledztwem. Siedzieli więc teraz w jego gabinecie, a Barbara na zadane pytanie kiwnęła tylko potakująco głową.

– Kiedy ostatni raz widziała pani brata? – Zaczął przesłuchanie.

– Trzy dni temu, tak jak podałam przy zgłoszeniu zaginięcia. – Niebieskie oczy spojrzały lodowato na policjanta. – To znaczy ostatni raz żywego. Wyszedł rano do pracy, zrobiłam mu kanapki. Chce pan wiedzieć, z czym były?

– Rozumiem, że jest pani szoku po takiej tragedii, ale...

– Ale nie zrobiliście kompletnie nic od czasu mojego zgłoszenia! – Przerwała mu, uderzając otwartą dłoń w stół.

– Pani Barbaro, wykonywaliśmy czynności rutynowo, jak przy zaginięciu. W końcu to dorosły mężczyzna, nie mieliśmy żadnych przesłanek ani śladów wskazujących, że doszło do tragedii.

– A jednak ktoś go zabił. – Utkwiła pusty wzrok w ścianie za Ileckim. – Bez żadnych przesłanek.

– Mógł sam wpaść do rzeki, ale rozważamy także i udział osób trzecich. – Sucho i asekuracyjnie poinformował komisarz.

– Może i wpadłam w histerię, ale nie ośleplam. Ktoś mu zdrowo przywalił w głowę, więc niech pan za przeproszeniem nie traktuje mnie jak idiotki. Kawa na ławę! – Uniosła kubek, patrząc wyzywająco.

– No dobrze, wstępna ocena potwierdza udział osób trzecich. Najprawdopodobniej nie utopił się, ale to rozstrzygnie dopiero sekcja zwłok. Proszę teraz opowiedzieć, w jakim humorze był rano? Czy coś odbiegało od normy? Każdy szczegół ma znaczenie. – Podkreślił.

– Normalnie. Śniadanie zjadł jak zwykle szybko, pożartował z Olą, moją córką i wyszedł. To było w piątek, więc do przewidzenia było, że wróci późno. W piątki często po pracy szedł z koleżkami do Jagody.

– Do Jagody? – Zdziwił się Ilecki.

– Bar „U Jagody”, takie nasze miejsce we wsi, gdzie się można uchlać kulturalnie, nie pod płotem.

– A często się tak uchlewał?

– Lubił sobie strzelić parę piw, ale od czasu wypadku miał słabą głowę, więc się hamował w odpowiednim momencie i zawsze wracał do domu na dwóch nogach, bez pomocy „osób trzecich”. – Zaakcentowała ostatnie wyrażenie.

– Jakiego wypadku? – Ciągnął niezrażony komisarz. – Ta blizna po kraniotomii, to po nim?

– Tak, to po nim. – Pierwszy raz w oczach rozmówczyni pojawił się cień uznania. – Dziesięć lat temu na wiejskiej zabawie tak się schlał, że rozwalił sobie łeb. Krwiał podtwardówkowy.

– Nikt mu w tym nie pomógł?

– Może i pomógł, ale Bernard ledwo wyszedł cało i za cholerę nie potrafił sobie przypomnieć tej zabawy. Lekarz twierdził, że nierzadko tak się zdarza przy krwiakach, ale najczęściej po paru dniach pamięć wraca. U niego pozostała trwała luka. Ale jaki to ma związek?

– Taka praca, pani Barbaro. Setki pytań, które nic nie wnoszą, ale mimo wszystko muszę je zadać. Tak, żeby nie przegapić, choć jednego istotnego spośród nich.

– Niech więc pan pyta. – Uciekła myślami na chwilę. – Byle znaleźć odpowiedź, kto mu to zrobił. – Ścisnęła tekturowy kubek tak mocno, że resztką kawy wyciekła na blat.

Arkadiusz Ilecki zabrał się więc do kolejnych pytań. Po kilkudziesięciu minutach stwierdził, że je powtarza. Oczywiście przesłuchanie było nagrywane, jednak Ilecki miał własny notes, w którym zapisywał najważniejsze informacje, albo jakieś ulotne myśli czy skojarzenia, do przemyślenia na później. Pamięć ludzka to wspaniały skarbiec, ale czasami warto mieć pod ręką własny kluczyk do odpowiedniej szufladki.

– To chyba tyle na dzisiaj. Gdyby się pani coś przypomniało, proszę o kontakt. – Podał jej swój numer. Gdy chciał cofnąć rękę, Barbara gwałtownie złapała go za nadgarstek.

– Panie komisarzu, niech mi pan obieca, że go pan znajdzie, proszę. – W jej oczach pojawiło się błaganie. Już miał rzucić standardową formułkę: *Zrobię wszystko, co w mojej mocy*, ale widząc rozpacz w mokrych oczach, rzekł wbrew zasadom:

– Obiecuję.

– Trzymam pana... – Puściła rękę. – ...za słowo.

Ilecki postawił trzy kufle piwa mocnymi, sprężystymi ruchami, nie ulewając ani kropli płynnego chmiele. Lokal „U Jagody” był nieco obskurny, ale w taki słoneczny dzień na zewnątrz przy stoliku było całkiem przyjemnie. Od barmanki w nieokreślonym wieku, z biustem wylewającym się z ciasnego mundurka, uzyskał pożądane informacje szybciej, niż piana urosła na trzy palce. Nawet nie musiał użyć blachy, wystarczył jego firmowy uśmiech i oklepny komplement, przy którym Casanova spaliłby się ze wstydu. Zgarnął trzy piwa na raz i wyszedł do ogródka.

– Chciałem pogadać. – Przesunął kufle w stronę siedzących mężczyzn. – Chodzi o Bernarda Majkuta.

– Ano, szefie, ale, o co konkretnie chodzi? – zapytał najmłodszy z nich, szatyn o niebieskich oczach i krótkim, niechlujnym zarostcie.

– O zabójstwo. Komisarz Arkadiusz Ilecki. – Tym razem wylegitymował się, nie było czasu na dalsze udawanie kumpla. – Możemy porozmawiać spokojnie tutaj albo oficjalnie na komendzie. Może ta rozmowa wystarczy. – Spojrzał każdemu w oczy i już wiedział, że pierwsze rozdanie należy do niego.

– Panie komisarzu, po co te nerwy. – Siedzący naprzeciwko grubas chwycił kufel. – Nie mamy nic do ukrycia, pytaj pan.

– Zaczniemy od nazwisk szanownych panów. – Wyciągnął notes i notował w kolejności: Arkadiusz Smętny, Waldemar Maziak i Andrzej Janiak. Grubas, łysol i młodzik – przydzielił im w myślach własne określenia.

– Kiedy ostatni raz widzieliście Bernarda Majkuta, po kolei.

– To proste. – Zaczął Maziak, wycierając rękawem pianę z wąsów. – W piątek siedział tu, gdzie pan teraz, to było jego miejsce. Chlusnął z nami jednego żubra i poszedł. – Pozostali potwierdzili, potakując głowami.

– Jak rozumiem, siedzieliście tutaj później całą trójką?

– Tak, tak... Jasne.

– A do której godziny?

– Jeśli dobrze pamiętam, to do zamknięcia. W końcu to piątek, weekend, rozumie pan, komisarzu? – Smętny uniósł kufel w porozumiewawczym geście. – Aż Bożenka trzasła drzwiami. – Zarechotał.

– Do końca we trzech? – Sprecyzował, nie reagując na żart. Będąc podwładnym Misiaka od dawna miał taki odruch, zwany „reakcją sucharową”. Czyli po rzuconym dowcipie, bezzwłoczne przejście do innego tematu.

– No... – zająknął się grubas. Niezbyt dyskretne rzucenie okiem na kolegę z lewej wystarczyło Ileckiemu. – No... tak. – Dodał Smętny. – We trzech.

– Jak trzech muszkieterów. – Janiak uniósł kufel i stuknęli się, rozlewając nieco płynu na brudnawy stół.

– Pan też? – spytał jednak Maziaka.

– Do ostatniej kropelki, panie komisarzu, jak babcię kocham. – Uderzył się w pierś.
– A pan, panie Janiak? – Celowo zostawił go na koniec. Spojrzał mu prosto w oczy, ale przeciwnik nie wytrzymał zbyt długo i uciekł wzrokiem na podstawkę z logo Żubra.
– Ja też. – Ilekci zdążył jednak zauważyć reakcję żrenic i nagle wystąpienie potu na czoło mężczyzny.
– Dobrze, przypominam tylko, że za składanie fałszywych zeznań grozi kara. – Rzucił suchą profesjonalną formułkę.

Cisza.

– Przejdźmy dalej – odezwał się ponownie po chwili. – Czy zauważyliście coś w zachowaniu Majkuta w ostatnim czasie, co odbiegało od normy? Czy był przygnębiony albo zdenerwowany? Każda informacja jest ważna, a przecież zginął wasz kolega.

– No, to jakby się tak zastanowić... – Czknął Maziak. – To faktycznie trochę był dziwny ostatnio.

– Myśmy myśleli, że to dlatego, bo spadł z drabiny parę dni temu, panie komisarzu. – Wtrącił się Smętny.

– To mu się chyba coś znowu poprzestawiało...

– Znowu?

– No, bo wie pan, on kiedyś dostał zdrowo w głowę i ledwo go odratowali. Przez jakiś czas nawet mówili, że nie będzie chodził, ale to twarda sztuka. Zostało mu tylko to, że gorzej widział na boki.

– Mniejsze pole widzenia, tak mu lekarze powiedzieli – odezwał się Janiak, nie patrząc jednak na komisarza. – Czasami jak się stało obok niego, to nie widział człowieka, aż głową nie ruszył na bok.

– A kto mu w głowę przywalił?

– A tego, to on sam nie wie. Dziura w pamięci taka. – Mężczyźni stali się bardziej wylewni, schodząc na bezpieczniejsze tematy. Również alkohol powoli rozwiązywał języki.

– A co z tym upadkiem z drabiny? Też nie pamiętał?

– To żadna tajemnica, panie komisarzu. – Grubas oparł łokcie na blacie. – Wypił z nami po piwku i poszedł do domu, bo obiecał Baśce, to znaczy siostrze, że zagłędzie do rynny, bo się przytkała. Ot i fiknęła kozła, trochę przywalił głową w ziemię, ale tam miękko mają, trawa duża. Poza tym to z drugiego czy trzeciego szczebla było. Nawet nie pojechał do lekarza.

– Ale od tego czasu. – Janiak uniósł palec wskazujący w górę. – To się zrobił jakiś nerwowy. Denerwował się o byle co, nie żartował jak dawniej. Do piątku. Bo w piątek przyszedł w dobrym humorze, postawił nawet kolejkę.

– A o której poszedł?

– No, wypił jedno piwo i powiedział, że musi uciekać, ale jak dobrze pójdzie, to następnym razem postawi coś więcej. Ja wiem, która to była? Na pewno przed szóstą. – Pozostali pokiwali głowami. – Tak, tak, jakoś tak było.

Ilekci zadał jeszcze masę pytań, ale dowiedział się tylko tego, co już wcześniej zdążył sprawdzić. Bernard Majkut pracował w sąsiedniej wiosce, jako mechanik samochodowy. Kawaler, mieszkał z matką, siostrą i siostrzenicą. Ojciec od dawna nie żył. Koledzy oczywiście wystawili mu godną laurkę – był przyjacielski, wesoły i niegłupi. Spokojny, chociaż po wypadku sprzed lat zdarzały mu się czasami silne bóle głowy i wtedy lepiej było go nie drażnić, bo robił się agresywny.

– A czy miał z kimś na pieńku, czy ktoś mógłby chcieć się go pozbyć? – spytał wprost komisarz, unosząc długopis w górę. Jego notes, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie wzbogacił się w jakieś cenne informacje.

– Berni? Nie, raczej nie. Skąd, spokojny chłop był, niekłótniwy. Nic mi o tym nie wiadomo. – Posypały się z trzech stron informacje.

– A z rodziną dobrze żył?

– No, dla rodziny to by w ogień wskoczył. Ta jego siostrzenica to dla niego była oczkiem w głowie. Ojca jej zastępował. – Rozrzewnił się Maziak. – Bo wie komisarz, ta jego siostra, Baśka, to się kiedyś puściła nie wiadomo z kim. Taka miała być z niej pani doktor, a tu się zbrzuchaciła i teraz w sklepie bułki sprze-

daje. Ale już tak nosa nie zadziera. A Bernard chociaż kawaler, to o dziecko dbał jak o swoje. Zresztą, oni się tam nie kłócili częściej niż u innych.

– Nawet, powiedziałbym rzadziej. – Dodał Janiak.

– No dobrze, gdyby się panom coś przypomniało – zaakcentował ostatnie słowo, patrząc na najmłodszego z kompanii – to proszę o kontakt. Nie wiadomo, co może być istotne.

Wstał, pożegnał się i ruszył w stronę samochodu. – Sam bym się napił piwa. – Przemknęło mu przez głowę. – Może dziś wieczorem jedno przed snem, byle zimne.

– Panie komisarzu! – Doleciało od stolika. Odwrócił się.

– Dziękujemy za piwko! – Smętny pomachał pustym naczyniem. – Polecamy się na przyszłość.

Ilecki utkwiał spojrzenie w oczach Wiktorii.

– Może wypijemy brudzia? Nie lubię sobie panować. – Wyciągnął z szafki butelkę wódki i dwa kieliszki.

– Widzę, że nie pierwszyczna... – Urwała, zastanawiając się tylko przez chwilę. – A co mi tam. Żeby się nam dobrze pracowało. – Chwyciła napełniony już kieliszek i uniosła do góry.

– Arek.

– Wiktoria.

Dopełnili tradycyjnego bratania się i zapadła chwila krępującej ciszy. Pół godziny wcześniej omówili dzisiejsze osiągnięcia. Komisarz zrelacjonował wyniki przesłuchań. Wygląda na to – podsumował – że facet wypił sobie, a potem pewnie pokłócił się z kimś i dostał w łeb. Czy przeciwnik miał zamiar pozabawić go życia, tego nie wiadomo. Miał jednak na tyle rozsądku, żeby wrzucić ciało do rzeczki, a nie zostawiać na miejscu, co sugeruje raczej drugą opcję.

– A ta zmiana zachowania?

– Może to tylko wymysł kolegów. Szczerze mówiąc, nie do końca wierzę w to wspólne alibi, przynajmniej jeśli chodzi o Janiaka.

– Nie lepiej było ich przesłuchać oficjalnie na komendzie?

– Znam ten typ ludzi, więcej powiedzą przy piwku. Jak się ich przywlecze do nas, to nagle odpowiadają półsłówkami i pamięć im się skraca. Jeśli sekcja potwierdzi wstępną ocenę czasu zgonu, będą mieli alibi. Wtedy się ich urzędowo poprosi i przycisnie. Któryś pęknie, bo widzi mi się, że obywatel Janiak jednak nie dotrzymał towarzystwa do końca libacji.

– A rodzina Majkuta?

– Mało prawdopodobne. Siostra blisko z nim związana. Podobno opiekował się nią i jej nieślubną córką. Brak motywu.

– Na razie brak jakiegokolwiek motywu. Najbardziej prawdopodobne przypadkowe zabójstwo, jakaś kłótnia. Takich spraw jest wiele.

– Pewnie tak. A pani ma coś więcej?

– Biling.

– Tak szybko? No, no, gratuluję.

– Jak się wie gdzie uderzyć i jakich słów użyć, a zwłaszcza wspomnieć o konsekwencjach utrudniania śledztwa w sprawie o zabójstwo, to się idzie na skróty.

– Jakiś znajomy w sieci komórkowej?

– Ech... wujek. Wiszę mu już za trzy takie przysługi. Mógłby pan przynajmniej czasami udawać mniej bystrego.

– Sorry, zboczenie zawodowe. – Uśmiechnął się. – A co z tym bilingiem?

– Większość połączeń do rodziny i kolegów, ale ostatnie, bardzo krótkie, pod numer, który pojawia się tam po raz pierwszy.

– I ostatni. Amen. Jeśli powie pani, że wie już czyj to numer, uznam, że zsyłają panią niebiosa.

– Ateista?

– Zgadza się.

– Tym bardziej doceniam komplement. Witold Morawiec, proszę, oto adres. – Podała mu karteczkę. – Mam nadzieję, że moje towarzystwo będzie mile widziane?

Wtedy właśnie Ilecki zaproponował bruderszaft, po którym zapadła chwila ciszy. Zanim któreś z nich zdążyło się odezwać, drzwi otworzyły się gwałtownie i wielki otyły jegomość zapukał w nie, gdy już przestąpił próg.

– Taka praca, to rozumiem. – Zerknął z podziwem na Wiktorię. – Tylko ja tutaj tonę w papierach.

– To nasz nowy prokurator – wycedził Ilecki.

– Oooo! Nadinspektor Henryk Misiak. – Wyciągnął rękę.

Zaraz się zacznie – pomyślał komisarz.

– Wiktoria Porażka. – Mocno uściśnęła dłoń policjanta.

No i się zaczęło – podsumował bez cienia uśmiechu.

– Wiktoria... Porażka... – powtórzył wolno Misiak. – Hoho! Wikto... ria... Po... rażka... Buawahahah! No to rodzice mieli poczucie humoru, nie?

Prokurator przyzwyczajona do takich sytuacji usiadła, ostentacyjnie odwracając się plecami do nadinspektora. Ten jednak nie poczuł się zażenowany. Jeszcze chwilę rechotał, powtarzając parokrotnie nowo poznane imię i nazwisko.

Ilecki chcąc ratować sytuację, zaczął relacjonować przebieg śledztwa i, zgodnie z przewidywaniem, szef szybko skupił się na faktach.

– Mówicie, że chłop dostał po głowie i wyciągnął nogi. A dla siostrzenicy był jak ojciec. Może naprawdę był jej ojcem, co?

– Szefie, to nie brazylijska telenowela.

– Ale jedna z możliwości, co jak sam powtarzasz...

– To na pewno nie on. – Przerwał z pewnością w głosie Ilecki. Misiak znał ten ton. Wiedział, że jak jego prawa ręką mówi „na pewno”, to ma mocne argumenty.

– Bo?... – Zawiesił głos.

– Bo córka ma brązowe oczy.

Wiktoria przez chwilę chciała parsknąć, ale widząc minę komisarza, stwierdziła, że ten nie żartuje. Szybko przeanalizowała sytuację i wysnuła logiczny wniosek.

– Majkutowie mają niebieskie oczy?

Komisarz potaknął zadowolony. Będzie nam się dobrze pracowało. – Podsumował w myślach.

Ale i Misiak nieprzypadkowo zajmował tak wysokie stanowisko.

– Rozumiem. – Złączył dłonie, kładąc na pokaźnym brzuchu. – Denat ma oczy niebieskie. Matka dziecka również niebieskie. Z prostego prawa dziedziczenia wynika nieubłagane, że dziecko musiałoby mieć oczy niebieskie, nie ma innej opcji. A skoro ma brązowe, to ojciec musi być brązowookim sukinsynem.

– Wiktorio, nasz major Sucharski jak widzisz ma także i zalety.

– Nie nazywaj mnie tak! – warknął rozzłoszczony Misiak. – Powiedz lepiej, co dalej zamierzasz.

– Przez tydzień urlopu nie poświęcić ani chwili na sprawy zawodowe. Będę się zajmował wyłącznie żoną. – Wyszczrzył zęby.

– No masz, prawie zapomniałem. – Skłamał przełożony. – Należy ci się. – Klepnął go w ramię. – No to udanego urlopu.

– Jeszcze tylko jedne odwiedziny. – Ilecki wyciągnął karteczkę z adresem Morawca.

– Takiego cię lubię. – W oczach nadinspektora zabłyśły wesołe iskierki. – W ten sposób może kiedyś pójdziesz w moje ślady.

Ilecki nie skomentował. Skierowali się z prokurator do wyjścia, ale dobiegł ich jeszcze chichot.

– Wiktoria Porażka, heh, dobre! Toż ci dopiero oksymoron!

Kobieta odwróciła się powoli.

– Panie nadinspektorze. – Modulowany głos miał zabrzmieć ciepło.

– Tak?

– Chyba już pora, prawda?

– Pora? Na co? – Dał się wciągnąć Misiak.

– Zamienić krótkie spodenki na jakieś męskie spodnie.

Zanim doczekała się riposty, w gabinecie został tylko zapach jej perfum.

Ilecki rozłożył ręce, śmiejąc się głośno.

– Co rżysz, co rżysz! Lubię takie. – Dodał szef, mrużąc łobuzersko oko. Autorytet musiał zostać zachowany. – Szkoda tylko, że tak jak ty, nie ma poczucia humoru. Same mruki mnie otaczają...

Ale Ilecki już zamknął za sobą drzwi.

Nowoczesna willa państwa Morawców znajdowała się w doskonałym miejscu. Od głównej drogi odchodziła około dwustumetrowa odnoga, również asfaltowa, prowadząca do jedynej posesji w tym miejscu. Z przodu i po bokach metalowe ogrodzenie wzmocnione było gęstwiną wysokich tuj, chroniąc teren przed ciekawskimi oczyma. Z tyłu zaś wielka połać ziemi, pokryta równo przyszyżoną trawą, sięgała wysokiego muru, który odcinał nieruchomość od niewielkiego lasu.

– Niezła chata. – Oceniał Ilecki, przydeptując peta. – Pora poznać pana domu osobiście.

– A nieosobiście już znasz?

– Facet ma cztery warsztaty samochodowe. I ponoć prowadzi tam nie tylko legalną działalność. Kumple mieli na niego oko, ale nic nie dało się udowodnić.

– A czy Majkut nie pracował w jednym z jego warsztatów?

– W warsztacie tak, ale w konkurencji. – Przycisnął guzik domofonu dwukrotnie, zanim odezwał się poirytowany męski głos.

– Kto tam? – Burknęło w głośniku.

– Komisarz Arkadiusz Ilecki i prokurator Wiktoria Porażka. Chcielibyśmy zadać panu parę pytań. Oczywiście możemy się wylegitymować.

– Nie trzeba, nie trzeba. – Trzasnęło na łączu. – Nie mam nic do ukrycia.

Po chwili znaleźli się w obszernym salonie urządzonego z przepychem, ale bez większego pojęcia o architekturze wnętrza. Skórzana sofa, fotele, wielki gruby dywan i telewizor na pół ściany przyciągały wzrok.

Chyba ze cztery razy większy niż mój. – Pozazdrościł komisarz. – *Tu to by się mecz oglądało.*

– Proszę siadać. – Morawiec wskazał na pokaźne fotele. – W czym mogę pomóc? – zapytał bez życzliwości. Był młodym mężczyzną, zapewne dobiegał dopiero trzydziestki, ale już odznaczał się pokaźną tuszą. Małe brązowe oczka w wielkiej twarzy świdrowały niezapowiedzianych gości. Koszulka pod pachami zdradzała wzmogoną potliwość, wtórowało temu czoło mężczyzny. Ilecki często spotykał się z taką reakcją. Nawet zupełnie niewinni ludzie w kontakcie z policją potrafili się spieszyć.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Bernarda Majkuta. Czy znał go pan osobiście?

– Berniego? Tak, tak. Słyszałem o tej sprawie. – Pokiwał głową, uwydatniając drugi podbródek. – Kiedyś się kolegowaliśmy, potem nasze drogi się rozeszły. Szkoda chłopca, taki młody był. – Westchnął teatralnie, ocierając wielką chusteczką pot z czoła.

– Czy utrzymywaliście kontakty? – Pytania zadawał Ilecki. Wiktoria przysłuchiwała się tylko i oceniała reakcje przesłuchiwanego.

– W sumie... to nie. – Morawiec udzielił odpowiedzi po chwili namysłu. – Ale parę dni temu zadzwonił do mnie, nawet nie wiem skąd miał mój numer.

– Kiedy to było?

– Zaraz, zaraz. – Potarł gładko wygolony policzek, wbijając wzrok w dywan. – To było w czwartek albo piątek. Zresztą. – Machnął ręką. – Zaraz sprawdzę w telefonie. W jego grubej dłoni znalazł się wielki smartfon. Parę kliknięć załatwiło sprawę.

– W piątek o godzinie 10:32.

– A czego dotyczyła ta rozmowa?

– Ot, chciał się spotkać i pogadać o dawnych czasach. – Słysząc było, że stara się nadać głosowi lekki ton, ale dało się wychwycić fałszywe nutki. – Wie pan, jak to jest, panie komisarzu. – Tym razem spojrzał w oczy rozmówcy. – Jak się człowiek dorobi, to co chwilę ktoś chce się spotkać, niby to na piwko, a potem coś pożyczyć albo prosić o przysługę, żeby jakąś pracę załatwić. Jak bym tak z każdym chodził na piwo, to by mnie żona trzeźwego nie widziała. – zarechotał z własnego dowcipu, ale bez reakcji pozostałych.

– Nic więcej nie powiedział, nie sugerował? – Drażył komisarz ze stoickim spokojem.

– Powiedziałem, że na razie nie mam czasu, ale na pewno się odezwę. – Rozłożył ręce w geście, mającym zapewne wyrażać: *Jakoś go musiałem splawić, no nie?*

– A czy był zdenerwowany albo podekscytowany?

– Niech no się zastanówię – Morawiec przekrzywił głowę i pozostał chwilę w milczeniu. – Nie odniosłem takiego wrażenia, raczej to był taki proszący, wręcz błagalny ton. Zapewne dlatego pomyślałem, że spotkanie to tylko przykrywką i będzie chciał przysługi. – A ja instytucją charytatywną nie jestem, proszę mi wybaczyć szczerość. Do wszystkiego doszedłem ciężką pracą, niech inni też spróbują.

– A kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Ja wiem?... Może miesiąc temu gdzieś na drodze, nawet nie zamieniliśmy słowa.

– A co pan robił w piątek między godziną osiemnastą a północą?

– Ja? – Morawiec był chyba przygotowany na to pytanie, ale starał się udąć zdumionego. – Chyba mnie nie podejrzewacie? Spędziłem wieczór z żoną, może poświadczyć, pewnie będzie za chwilę. Pojechała na pięciominutowe zakupy. Trzy godziny temu. – Znowu zaśmiał się nieszczercze i jako jedyny. Wiktoria przewróciła oczami.

Ileki zadał jeszcze parę pytań, zamknął notes i wstał.

– Dziękujemy, to wszystko. – W razie...

– Tak, tak, jak sobie coś przypomnę, to dam znać. Przykro mi, że nie potrafiłem pomóc.

– Zdaje pan sobie sprawę, że prawdopodobnie jest pan ostatnią osobą, z którą rozmawiał?

– No, chyba jeszcze z mordercą...

– Na razie nie wiemy, czy doszło do zabójstwa, chyba że pan coś wie na ten temat?

– Nie, nie. – Zmieszał się gospodarz. – Tak tylko ludzie gadają, wie pan, jak to jest w małej miejscowości. Działa szybciej niż te wszystkie Pudelki czy jak im tam. No, te w Internecie...

– Słyszeliśmy. – Przerwała Wiktoria. – Dziękujemy za poświęcony czas.

Ledwo znaleźli się w samochodzie, Ilecki wyciągnął papierosa.

– Śliski ten gość i coś mu nie dowierzam.

– Mam podobne odczucia, ale mogło być tak, jak mówi. Majkut chciał od niego pożyczyć kasę, więc zadzwonił, żeby się umówić niby na powspominanie dawnych czasów. A ten go potraktował krótko. W zapisie bilingu rozmowa trwała niecałą minutę. To by nawet pasowało. Sam się do niej zresztą przyznał.

– Albo nie ma nic do ukrycia, albo wyprowadził kontratak, wiedząc, że i tak się dowiemy.

– Nie wygląda na takiego spryciarza, ale kto wie.

– Zastanawia mnie bardziej ten zbieg okoliczności. Majkut po tak długim czasie nagle kontaktuje się z Morawcem i tego samego wieczoru ginie. Trzeba podpytać rodzinę denata o powiązania z Morawcem.

– Szantaż?

– Nie da się wykluczyć, ale ten typek wygląda na takiego, co nie da się łatwo zastraszyć i ma węża w kieszeni.

- Ale ma również alibi.
- No cóż, trzeba je jeszcze sprawdzić. Podeślę kogoś, żeby porozmawiał z żoną.
- A ty?
- A ja wracam do domu i pomogę swojej w domknięciu walizek. Jak wrócę za tydzień, pewnie już będzie po sprawie.
- Tak sprawnie tu działacie?
- Trafi do działu akt z wpisem: sprawca nieznany, brak dowodów, najprawdopodobniej pijacka kłótnia. I znajdzie się coś ważniejszego.
- Widzę, że tu u was, jak w wielkim świecie.
- Ludzie są wszędzie tacy sami, Wiktorio. Te same namiętności, żądze, nałogi i chciwość. A w pracy... priorytety ustala ten, kto siedzi na górze. Chociaż, co by nie powiedzieć o Misiaku, to porządny gość.
- Proszę, proszę, policjant-filozof. – Uśmiechnęła się ciepło. – Czuję, że będzie się nam dobrze pracowało.
- Myślałem, że już bez trybu przypuszczającego?
- W odpowiedzi uzyskał tylko potaknięcie. Tyle mu wystarczyło.

Krystyna Morawiec czekała w otwartych drzwiach. Nie w smak jej była ta niezapowiedziana wizyta, ale nie wypadało odmówić. W końcu dawna przyjaciółka, do tego w żałobie. Gdy przed chwilą odebrała domofon, usłyszała tylko zmęczony głos: Cześć Kryśka, tu Baśka Majkut. Chciałabym pogadać, masz chwilę? Już było za późno, aby udać, że nikogo nie ma w domu.

Kiedy przywitała się sztucznym konwencjonalnym pocałunkiem, na chwilę zapadło milczenie. Z jednej strony nieumalowana blondynka, w dobrze dopasowanym sweterku i džinsach, z drugiej aktualna brunetka z dodatkiem różowych wstawek, której domowy strój był bardziej elegancki niż wizytowy gościa. Ciężki makijaż i chmura drogich perfum otaczały panią domu, lecz i tak pomimo wszystkich przebytych zabiegów upiększających, to Barbara wyglądała pięknie. Kiedyś Krystyna śmiała się z niej, że nawet w worku kartofli zostałaby miss wioski. Lata minęły, a wiek tylko dodał atrakcyjności Baśce. Za to ona sama tu i ówdzie nabrała krągłości, które jednak nie dodały jej uroku.

Barbara po raz pierwszy znalazła się w rezydencji znanej w całej okolicy. Rozmowa zaczęła się więc od ochów i achów. Jakie piękne lustro, a jakie zamki, drzwi jak pancerne, no oczywiście, że i alarm macie. Wypytywała o każdy szczegół, a Baśka z dumą odpowiadała i jakoś tak sama zaczęła oprowadzać znajomą po domu. Kiedy usiadły w kuchni (nie było potrzeby zapraszać „takiego” gościa do salonu) atmosfera znacznie się rozluźniła.

Krystyna postawiła filiżanki na stole, a Baśka bez zażenowania oglądała nowoczesne sprzęty.

- Z takimi robotami, to naprawdę musisz mieć łatwo w kuchni.
- Oj, rzadko sama gotuję, ale przyznaję, technika czyni cuda. – Krystyna już miała dość tych zachwytów.
- Siadaj i mów, co cię do mnie sprowadza.
- Barbara posłusznie zajęła miejsce przy stole i oparła łokcie o blat, podnosząc piękną porcelanę do góry.
- Pyszna kawa. – Zaczęła. – Ale ja tu nie na pogaduszki, tylko w sprawie Berniego.
- Tak myślałam. Przy okazji moje kondolencje, to był dobry człowiek.
- Nie wiem, czy słyszałaś, ale to nie był wypadek. Ktoś go zabił. – Szpary powiekowe zwęziły się.
- Tak, coś tam słyszałam, dostał w głowę, tak?
- Widziałam go. – Barbara przestała tłumić emocje i rozplakała się nagle. – Ktoś pogruchotał mu czaszkę, a potem wrzucił do Mleczki, żeby upozerować wypadek lub samobójstwo. – Uniosła głowę. – Jak tak można, Kryśka, pytam cię, jak można tak kogoś zabić?
- Basiu, nie wiem, co powiedzieć. – Faktycznie nie wiedziała, pierwszy raz znalazła się w podobnej sytuacji. – Policja na pewno znajdzie mordercę.
- Gówno prawda. – Barbara otarła łzy i nagle na jej twarzy pojawiła się złość i zaciętość. – Już raz go

ktoś pobił, wtedy ledwo go uratowali, nie pamiętasz? I co wtedy zrobiła policja? Nic. Myślisz, że teraz będzie inaczej? Gadałam z nimi, mają to w dupie. Ta ich śpiewka: Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Bajanie. Stwierdzą, że się schlał i pobił z kimś. I zapomną. Ale ja – coś czarnego pojawiło się w jej oczach – ja nie zapomnę. I nie odpuszczę.

– Co chcesz zrobić?

– Działać. Po to tu przyszłam.

– Do mnie?

– W sumie to do Wojtka, ale nie wiem, czy on by ze mną gadał.

– A co chcesz od niego? – Nastroszyła się.

– Bernard do niego dzwonił w dniu śmierci. Chcę wiedzieć, po co. Nie interesuje mnie, co naopowiadał policji, chodzi mi o prawdę. Pomożesz mi? Zapytasz go? Ze względu na starą przyjaźń, proszę, pomóż mi. To może być ważne.

– Dobrze, zapytam go. Dam ci znać, jak się czegoś dowiem.

Pożegnały się sucho i Barbara powoli udała się w stronę furtki. Krystyna tępym wzrokiem patrzyła za odchodzącą. Przed oczami przewijały się jej obrazy z przeszłości. Dwie psiapsiółki na śmierć i życie. Żadnych tajemnic, zawsze razem. Ale to Baśka była nieformalnie liderką. Ta mądrzejsza, ładniejsza i twardo stąpająca po ziemi. Ona też nie była brzydka, ale bledła przy koleżance. Baśka była prymuską, miała jasny cel – dostać się na medycynę, zostać pediatrą, potem założyć rodzinę. Po śmierci ojca krucho u nich było z kasą, ale matka odkładała, ile mogła, żeby córka mogła w przyszłości studiować. A teraz, proszę. Sprzedaje w sklepie w tej zapadłej dziurze. A Krystyna została nuworyszką, stać ją na najlepsze kosmetyki i ciuchy. Wojciech potrafił zadbać o żonę. Jemu też zależało, żeby ślubna prezentowała się okazale. A Baśka? Sama wychowuje bachora, ledwo wiążąc koniec z końcem. Z dawnej przyjaźni zostały tylko wspomnienia. Ale stare grzechy rzucają długie cienie. Kiedy Krystyna usłyszała to zdanie w jakimś serialu, bardzo jej się spodobało. Na pewno w telewizji, bo książek nie czytała. Teraz prawdziwie pojęła znaczenie tych słów. Ale nie pozwoli, aby te cienie ujrzały światło dzienne. Stare grzechy muszą zostać w ciemności.

Księżyc wychynął nieco zza chmur. Ciemność została przedarta delikatną poświatą, przez co szpalery drzew po obu stronach gruntowej drogi stały się bardziej widoczne. Ich powykręcane konary i gałęzie zdawały się wyciągać w stronę samochodu niczym jakieś leśne potwory z ogromnymi szponami. Wojciech Morawiec jednak nie należał do ludzi strachliwych, poza tym nie był obdarzony zbyt wielką wyobraźnią. Teraz jedynymi uczuciami, jakie nim władały, były: wściekłość, gniew i żądza zemsty.

Pędził swoim terenowym bmw dobrze znaną drogą, chętnie wykorzystywaną w dzień, jako skrót przez las, a opustoszałą w nocy. Jego wielkie ręce ścisnęły mocno kierownicę, jakby chciały kogoś udusić.

A to gnida! Żeby tak mnie potraktować. Nie dam się szantażować.

Przez drogę przeskoczyły cztery sarny. Kierowca nawet nie zwolnił. Pałał żądzą krwi.

Tak mnie wystawić. Nikt nie będzie robił sobie bezkarnie jaj z niego, Wojciecha Morawca. Już on coś wymyśli i zamknie sprawę na dobre. Za wiele ma do stracenia, żeby teraz taki pomiot mu groził!

W końcu bmw wyskoczyło na jakąś porządną drogę, jeśli asfalt pełen dziur można tak określić. Jak zwykle załatają to na szybko przed wyborami, a potem zima na nowo upstrzy jezdnię licznymi przeszkodami. Przycisnął pedał gazu. Bez wahania zostawił długie światła, pomimo zbliżania się do terenu zabudowanego. Niechby tylko napatoczył się jakiś pijak, lepiej niech mu teraz zejdzie z drogi.

Uderzył w pulpit dotykowy. Nawet ostatni przebój Sławomira dzisiaj go tylko drażnił. Musi ochłonać i przemyśleć dalsze kroki. Raz, a dobrze zamknąć sprawę. Tyle lat był spokój. Teraz w okolicy nie miał równych sobie, zyski rosły, planował otworzyć kolejny warsztat, a tu nagle przeszłość dała znać o sobie.

Myśli przemykały niczym gnane szalonym wiatrem ciemne chmury, a przekleństwa, jak pioruny rozdzie-

rały co chwilę ten groźny nieboskłon.

Parę minut wystarczyło, aby znaleźć się pod bramą. Kliknął odpowiednio wcześniej, ale żelazne wrota dziś wyjątkowo powoli rozsuwały się na boki. Zajechał wreszcie na podjazd i pełen wściekłości rozpiął pasy. Ze złości uderzył jeszcze raz w kierownicę i zaczął gramolić się na zewnątrz, w czym wyraźnie przeszkadzała mu spora tusza.

Dopiero gdy się odwrócił, zobaczył postać w kapturze. Bardziej domyślał się, niż rozpoznawał, kto przed nim stoi. Nie zdążył jednak wypowiedzieć ani słowa. Cios przyszedł nieoczekiwanie. Napastnik dobrze wiedział, jak zaatakować. Odpowiednia siła i błyskawiczny ruch musiały być perfekcyjne za pierwszym razem. Tak, aby ofiara nie zdążyła zareagować. Piekielnie ostre ostrze noża rozerwało jednym pociągnięciem grubą ścianę tętnicy szyjnej. Krew się nie lała, krew wytrysnęła niczym erupcja wulkanu, pokrywając gwałtownie szybę jasnoczerwoną posoką.

Morawiec zagulgotał. Czy chciał przekląć napastnika, czy wzywać pomocy, tego już nikt miał się nie dowiedzieć. Oburącz ucisnął pulsującą ranę na szyi, ale takiego ciśnienia nie był w stanie powstrzymać. Upadł, a ręce tonęły w życiodajnym płynie. Niestety, za dużo go utracił i ciśnienie szybko zmalowało, a spowodowane tym niedotlenienie ośrodka oddechowego w mózgu dokończyło dzieła. Ciało upadło w kałużę własnej posoki. Po chwili obok niego upadł jeszcze jakiś mały przedmiot. Napastnik, będąc już za bramą, odwrócił się jeszcze, by spojrzeć z satysfakcją na grube cielsko Wojciecha Morawca, które nie było już niczym więcej niż zwłokami.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Carvedilol, dodano 14.12.2018 08:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.